

# BUNT W SOBIBORZE



Opowieść o przetrwaniu w Polsce  
okupowanej przez Niemców

Philip Bialowitz  
opowiada swojemu synowi  
Josephowi Bialowitzowi

Przełożył Piotr Kowalik

FRAGMENTY KSIĄŻKI  
BEZ PRZYPISÓW



Tytuł oryginału angielskiego:  
*Revolt at Sobibór. A teenager's story of survival in Nazi-occupied Poland*

© Text copyright by Philip Bialowitz

Copyright for the Polish translation © by Piotr Kowalik,  
Warszawa 2008

Copyright for the Polish edition © by  
Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2008

Projekt okładki i stron tytułowych *Przemek Dębowski*,  
*www.octavo.pl*  
Redakcja naukowa *Robert Kurwatek*

Premiera książki: październik 2008

[www.BuntWSobiborze.pl](http://www.BuntWSobiborze.pl)

- scenariusze zajęć lekcyjnych do ściągnięcia ze strony



02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel.: 022 643 93 89, 022 331 91 49, faks 022 643 70 28  
e-mail: [wnk@wnk.com.pl](mailto:wnk@wnk.com.pl)

Dział Handlowy  
tel.: 022 331 91 55, tel./faks 022 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel.: 022 641 56 32  
e-mail: [sklep.wysylkowy@wnk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@wnk.com.pl) [www.wnk.com.pl](http://www.wnk.com.pl)

## Rozdział II

### Przed wojną

„Zabójcy Chrystusa!”

„Żydzi do Palestyny!”

Właśnie skończyła się lekcja religii w naszej małej państwowej szkole. Dzieci katolickie i żydowskie uczyły się tych samych przedmiotów, ale w różnych salach lekcyjnych. Jediną różnicą w programie była lekcja religii. Ksiądz przekazywał polskim dzieciom religię katolicką, a dwie miejscowe Żydówki, Hadassa i Grincza, nauczały nas judaizmu. Nigdy do końca nie wiedziałem, co ksiądz opowiada swoim uczniom, ale dzisiaj mogłem się tego domyślać. Stałem na boisku szkolnym z moimi kolegami Motłem i Joselem, kiedy krzycząca zgraja chłopców wypadła ze szkoły, obrzucając nas kamieniami. Nazwali nas mordercami i odsyłali do miejsca, do którego wtedy w żaden sposób nie mogliśmy wyjechać.

Miałem trzynaście lat, byłem średniej budowy, mierzyłem sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważyłem sześćdziesiąt kilogramów, ale stanąłem do walki z chłopakiem, który mnie zaatakował. Już miałem nad nim przewagę, kiedy ktoś przyszedł mu z pomocą. Zostałem pobity do krwi. Rozgląda-

łem się, szukając wsparcia, ale zobaczyłem tylko kilku polskich uczniów przyglądających się bóje. Zdawało mi się, że niektórzy mi współczują. Wreszcie moja męka dobiegła końca, nastoletni napastnicy napluli na mnie i bardzo zadowoleni ze swojego dzieła wrócili do domów.

Pozbierałem się i odszukałem Motla i Joseła. Motel był ode mnie wyższy i silniejszy, Josele zaś ustępował mi i wzrostem, i siłą. Ale siła nie miała znaczenia, żadnemu z nas nie udało się wyjść z tego bez zadrapań, ran, sińców i podartej odzieży.

– Musimy stąd wyjechać – powiedziałem.

Mieszkaliśmy w Izbicy Lubelskiej, małym, ale tętniącym życiem miasteczku, liczącym około pięciu tysięcy mieszkańców. (...)

Tylko kilkuset mieszkańców było Polakami. W sąsiednich wioskach wyglądało to inaczej, zdecydowaną większość stanowili Polacy. Szkoły, sklepy i place targowe były miejscami spotkań Polaków i Żydów, ale na tym nasze wzajemne relacje się właściwie kończyły. Chociaż mówiłem po polsku, uczyłem się historii Polski i wiedziałem, kto rządzi krajem, nigdy naprawdę nie czułem, że jestem Polakiem, ponieważ ja i pozostali polscy Żydzi nie mieliśmy takich samych praw jak Polacy. Moi rodzice płacili o wiele większe podatki niż ich polscy sąsiedzi. Odczuwaliśmy ciągły strach, że jako Żydzi możemy zostać nieoczekiwanie zaatako-

wani i nie będziemy mogli liczyć na pomoc policji czy sądów. Żyjąc od wieków w separacji i patrząc na siebie nawzajem z pewną podejrzliwością, Żydzi i Polacy wytworzyli między sobą rodzaj bezpiecznego dystansu. Ta nieufność rzadko przeradzała się w akty przemocy, tak jak miało to miejsce dzisiaj. Jednak ani ja, ani koledzy w żadnym stopniu nie godziliśmy się na takie traktowanie. Wszyscy uznaliśmy, że pewnego dnia opuścimy Izbicę. Należało tylko ustalić jak. (...)

## Rozdział VI

### Jesień 1942 roku

Po tym jak Niemcy zlikwidowali getto w Zamościu, do domu i do naszych kryjówek dołączyły jeszcze dwie osoby, siostry Luft, nasze kuzynki. Niemal wszyscy z Zamościa trafili do obozu, również ich rodzice. Tym pięknym, mającym po dwadzieścia kilka lat dziewczętom jakoś udało się ująć z życiem. Przed wojną siostry, których rodzina posiadała fabrykę narzędzi, wygrały nawet konkurs piękności. (...)

Po likwidacji getta w Zamościu wszyscy się spodziewali, że teraz przyjdzie kolej na nas. Nie wiadomo było tylko kiedy. Każdego dnia pojawiały się spe-

kulacje o następnej, ostatecznej akcji. W miasteczku huczało od plotek, jedne informacje się potwierdzały, inne nie. Życie stało się zupełnie nie do zniesienia, niczego nie można było być pewnym, zewsząd groziło to, czego doświadczaaliśmy każdego dnia: bicie, zabójstwa i deportacje. Ludzie chodzili jak oteźpiali, jakby pogodzili się z wyrokiem, tylko nie wiedzieli, jak będzie wyglądać egzekucja.

Przyjęliśmy taktykę, żeby opuszczać dom tylko w razie konieczności i odbierać wszelkie sygnały zwiastujące obławę. Na wypadek, gdyby nas złapali, zawsze mieliśmy przy sobie coś cennego, żeby przekupiony żołnierz lub policjant nas uwolnił. Wokół miasta przygotowaliśmy dodatkowe schronienia, żeby w razie łapanki zawsze można było się gdzieś schować. Co więcej, Symcha zapłacił pewnej polskiej rodzinie, by w razie potrzeby ukryła Branczę i Tobę na swoim strychu.

W październiku 1942 roku nasze najgorsze obawy się potwierdziły. Transporty wznowiono z całą brutalnością.

Altera złapali zaraz na początku. (...)

Świadek powiedział, że Alter dostał się w ręce Szulca, ten zabrał go do Engelsa i tam zastrzelono go na miejscu.

Śmierć Altera nie tyle mnie zasmuciła, co rozwścieczyła. Zacząłem marzyć o zdobyciu pistoletu, żeby się rozprawić z Engelsem i Klemmem. Postanowiłem po-

mścić wszystkich zamordowanych krewnych i przyjaciół. Nie chciałem już być bezsilny. Wiedziałem, że jeśli to zrobię, prawdopodobnie sam zginę, ale czułem też, że muszę coś przedsięwziąć. Pomyślałem, że może pewnego dnia odbiorę sobie życie, dlatego lepiej by było, gdyby zapamiętano mnie jako tego, który się zemścił.

Powiedziałem ojcu, co zamierzam zrobić.

– Nie zachowuj się jak *meszuga* – odparł. – Nawet gdyby ci się udało, to i tak cię zabiją. A kto wie, co ci szersze zrobią, zanim to się stanie.

Zacząłem płakać.

– Ale oni zabijają wszystkich, naszą rodzinę, przyjaciół – dlaczego? Czy zasługują na to, by żyć? – szlochałem. – Muszę to zrobić. Liczyłem na pomoc, ale teraz już nie potrzebuję twojego pozwolenia.

Ojciec nic na to nie odpowiedział. (...)

## Rozdział VIII

### Życie w Sobiborze

Ludzie, którzy opuścili okolice Sobiboru i Bełżca, mówili nam o istniejących tam fabrykach śmierci. Wcześniej nie do końca chciałem w to wierzyć, ale

kiedy tam przyjechaliśmy, nie miałem już żadnych wątpliwości. Napis na stacji kolejowej „Sobibór, Obóz Przejściowy, SS *Sonderkommando*” oraz druty kolczaste oddzielające obóz od gęstego lasu sosnowego oznajmiały, że to jest ten obóz, z którego żaden Żyd, który do niego trafił, nie wyszedł żywy. Wszystko się zgadzało. Jeśli Niemcy chcieli nas potajemnie wymordować, to na tym całkowitym pustkowiu znaleźli znakomite miejsce zbrodni.

Pomyślałem: „Po wszystkim, przez co przeszedłem, to już będzie koniec. Koniec z głodem. Koniec ze strachem. Koniec z oglądaniem śmierci mojej rodziny i przyjaciół. Wreszcie znajdę jakieś ukojenie”. Lecz jednocześnie chwyciłem się nadziei: „Jestem jeszcze młody. Chcę żyć. Całym sercem pragnę żyć”.

Zeszliśmy z ciężarówek na błotnisty plac strefy przyjęć rozciągającej się wzdłuż torów kolejowych. Natychmiast zorientowaliśmy się, że ucieczka była niemożliwa. Otaczały nas dziesiątki uzbrojonych Ukraińców w czarnych mundurach, ponadto stało tam kilku oficerów SS z wielkim psem. Paru żydowskich robotników, ubranych w niebieskie uniformy, pomogło nam zejść z ciężarówek. Rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem kwiaty, drzewa, trawę i porządnie utrzymaną drogę prowadzącą do obozu.

Nie spodziewałem się tego, że Niemcy wykorzystują Żydów w procesie zabijania, ani tego, że obóz będzie tak zadbane.

Kiedy wszyscy już wysiedli z ciężarówek, oficer SS zawołał:

– Potrzebujemy fachowców! Lekarze, dentyści, farmaceuci, hydraulicy, mechanicy, elektrycy, szewcy, krawcy – wystąpić z szeregu!

Zawsze dobrze jest być użytecznym. Mój brat jak zwykle zareagował mądrze i szybko, wyczuwając, że to dla nas jakaś szansa. Błyskawicznie złapał mnie za rękę i wyciągnął z tłumu. Oficer zapytał Symchę, kim jest z zawodu, na co ten odpowiedział, że farmaceutą i że ja jestem jego asystentem. Oficer kiwnął głową na znak aprobaty i kazał nam stanąć z boku. Wielu innych ludzi wybrano tak jak nas.

I tak mój starszy brat uratował mi życie.

Wiedziałem, że ci, którzy nie zostali wybrani – wśród nich Brancza, Toba i Sara – zginą. Ze łzami w oczach pożegnaliśmy się z nimi po raz ostatni. Nawet moja siedmioletnia siostrzenica, kiedy z płaczem tuliła się do mnie, wiedziała, że idzie na śmierć.

Zaprowadzono nas do obozu. Zdawaliśmy sobie sprawę, że zostaliśmy chyba ostatnimi żywymi członkami naszej rodziny. Od teraz liczyło się dla mnie tylko przetrwanie: moje i Symchy. Chociaż brat głosił o tym nie mówił, wiedziałem, że myśli o tym sa-

mym. Jeśli chcieliśmy ocaleć z tego piekła, musieliśmy zrobić wszystko, by się wzajemnie chronić. (...)

Kiedy zaczęły przybywać następne transporty kolejowe z Żydami, dokładnie poznałem, na czym polega proces zabijania w obozie. Obóz nadzorowało od 10 do 20 oficerów SS. Pomagało im od 100 do 200 żołnierzy ukraińskich. Zajmowali oni wieże strażnicze, pilnowali bram i nadzorowali wykonywanie robót. Transporty przyjeżdżały często, przeciętnie kilka razy w tygodniu. Składały się wyłącznie z Żydów. W większości byli to Żydzi holenderscy lub polscy i w zależności od kraju pochodzenia inaczej ich traktowano przed wymordowaniem. Holendrzy przyjeżdżali pociągami pasażerskimi. Wszystkie miejsca były zajęte, co oznaczało, że za jednym razem pojawiało się od tysiąca do trzech tysięcy ludzi.

Kapo wzywali grupę mniej więcej dwudziestu więźniów nazywaną *Bahnhofkommando*, która przyjmowała pasażerów i pomagała im w wyładunku ciężkich bagaży z pociągu. Więźniowie mieli porządne niebieskie ubrania robocze i czapki. Chociaż nie należałem do *Bahnhofkommando*, czasami kazano mi dołączyć do tej grupy i pracowałem jako pomocnik przy szczególnie dużych transportach.

Przy wynoszeniu bagaży z pociągu wielu holenderskich Żydów dawało mi napiwek za usługę. Moje serce krwawiło, bo wiedziałem, że ludzie, którzy stoją

przy mnie, za pół godziny zostaną zamienieni w popiół. Chciałem ich ostrzec, chciałem powiedzieć im, by rzucili się na strażników i uciekali, ale wiedziałem, że to i tak nic nie da. Nie uwierzyliby w to, co bym im powiedział. Niektórzy z przyjezdnych nie byli w stanie się poruszać, z powodu wieku lub niepełnosprawności. Tym kazano zostać na peronie, a potem wsadzano ich na wózek szynowy i po specjalnie wybudowanym torze przewożono do oddalonego o 300 metrów obozu 3, gdzie ich zabijano. Ale najpierw Niemcy realizowali szczegółowo opracowany plan zwodzenia wszystkich przyjezdnych.

Holenderscy Żydzi w ogóle nie domyślali się, co ich czeka. Niemcom udało się całkowicie oszukać tych ludzi i przekonać ich, że Sobibór to tylko obóz przejściowy. Kłamstwo było wzmocnione tym, co widzieli za oknami pociągu, przyjeżdżając do obozu – starannie utrzymaną, kolorową wieś w środku gęstego sosnowego lasu. Witwały ich kwiaty, ścieżki wyłożone kamykami, wiejskie domy z czerwonymi dachami (...).

Po zostawieniu ciężkich bagaży kolumna mężczyzn i kobiet z niemowlętami i dziećmi otrzymywała rozkaz szybkiego marszu aleją zamkniętą drutem kolczastym, która prowadziła do baraków. Tam kazano im zostawić torebki i bagaż podręczny, który jeszcze mieli przy sobie. Niektórzy Żydzi nie chcieli się na to zgodzić. Mieli wątpliwości, czy mogą oddać to, co było dla

nich ważne i cenne: dokumenty, pieniądze, biżuterię czy lekarstwa. Niemcy starali się ich przekonać łagodną perswazją, że odbiorą swoje rzeczy później. Kiedy jednak to ich nie przekonywało, okrutnie ich bili. Mimo to więźniowie nadal nie domyślali się, co nastąpi, z biciem mieli już przecież do czynienia wcześniej. Kiedy już wyszli z baraków, zbierała się grupa więźniów, w której stale pracowałem, i przenosiła bagaże do następnej sali magazynowej, w której przez następne dni je sortowaliśmy i przeszukiwaliśmy, aby znaleźć rzeczy wartościowe. Niemcy wymagali, byśmy jak najszybciej zabierali bagaże z baraków, żeby można było wpuścić kolejną grupę ofiar. Krzyczeli na nas: „Biegiem, biegiem!”. Mnie wystarczało siły, żeby biegać z bagażami, ale niektórym słabszym więźniom jej brakowało i zmęczeni padali na ziemię. Wtedy najbliższej stojący strażnik pochyłał się nad takim więźniem i biczowaniem zmuszał go do powstania.

W tym samym czasie holenderskich Żydów prowadzono na zamknięte, częściowo zakryte podwórko. Tam, w opanowany i przyjazny sposób witał ich oficer SS. Często słyszałem, jak zaczynał swoją przemowę od stanowczego, choć grzecznego wezwania: „Cisza, cisza!”. Następnie przeproszał wszystkich za niewygodę w podróży i za to, że jeszcze nie mogą udać się do swoich siedzib na odpoczynek. Informował, że z powodów sanitarnych najpierw muszą wziąć prysznic i pod-

dać się dezynfekcji. Bardzo zachęcał, żeby każdy napiął się do swoich krewnych w Holandii kartkę pocztową, zapewniając ich, że cieszą się dobrym zdrowiem i że przesiedlono ich do porządnego miejsca. Przemówienie esesmana dawało zamierzony skutek. Holenderscy Żydzi klaskali, niektórzy nawet wołali: „Brawo!”. (...)

Po zebraniu kart pocztowych łagodnie kazano im się rozbierać. Gdy byli już gotowi, prowadzono ich wąską ścieżką ogrodzoną drutem kolczastym i otoczoną zielenią. Niemcy nazywali ją *Himmelfahrtstrasse*. U jej wejścia stała budka, w której strażnik odbierał od przychodzących zegarki i kosztowności. Podawał każdemu numer, którym ofiara musiała się posłużyć po powrocie z „natrysków”, albo rozdawał bezużyteczne, ponumerowane pokwitowania do okazania przy odbiorze. Wtedy wielu z nas po raz ostatni widziało tych ludzi. Mnie wyznaczono jednak jeszcze jedno stałe zadanie, którym było ścinanie włosów kobietom. To był ich ostatni przystanek przed pójściem do komory gazowej. (...)

Po przyjeździe polscy Żydzi szli tą samą drogą co holenderscy, od stacji, przez podwórko, do komory gazowej. Wobec nich Niemcy niczego już nie udawali i zachowywali się szczególnie brutalnie. Wiedząc, że czeka ich nieprzyjemne spotkanie z wielką i oporną grupą Żydów, wielu Niemców i Ukraińców jeszcze przed przyjazdem transportów upijało się lub zażywa-

ło środki odurzające, przez co bełkotali i potykali się. To tylko zwiększało ich brutalność. Często polskich Żydów bito, gdy tylko wysiedli z wagonów albo kiedy nie chcieli ich opuszczać. Stawiali oni Niemcom opór w różny sposób.

Bywało, że próbowali uciekać zaraz po wyjściu z pociągu, ale natrafiali na drut kolczasty i rozstrzeliwano ich na miejscu. Polscy (a czasami również holenderscy) Żydzi w czasie rozbierania się często zagrzebywali w ziemi złoto, diamenty oraz biżuterię. Znajdowałem te precjoza, kiedy otrzymywałem rozkaz zbierania stosów ubrań i grabienia terenu, zaraz po wysłaniu tych nieszczęśników do komór gazowych. Niemcy i Ukraińcy bacznie się nam wtedy przyglądali i wszystko, co znaleźliśmy, musieliśmy im oddać. Pewnego razu usłyszałem dziwne odgłosy dochodzące ze sterty ubrań leżących na podwórku. Kiedy podszedłem bliżej i przyjrzałem się, okazało się, że pod ubraniami ukryto niemowlę. Dziecko miało smoczek, a na ubraniu wyszyte imię „Ada”. W ubranku dziecka znalazłem kartkę, na której było napisane po polsku: „Ratuj moje dziecko!”. Nie wiedziałem, co robić. Podszedłem do kapo Pożyckiego, który stał najbliżej, i powiedziałem mu o dziecku ukrytym w stosie ubrań. Ten podszedł i je zabrał. Jakakolwiek próba ratowania niemowlęcia nic by nie dała. Prawdopodobnie kapo poszedł z nim do obozu 3. (...)

Pewnego dnia ze wschodu przyjechał kolejny transport w bydłych wagonach. Najwyraźniej samo *Bahnhofkommando* nie wystarczało do rozładunku, dlatego Frenzel wziął do pomocy mnie i kilku innych mężczyzn. Zaprowadził nas do torów kolejowych, na których stały wagony. Wydano rozkaz rozładunku. Myślałem, że jak zwykle pomożemy ludziom wysiąść. Lecz kiedy otworzyliśmy drzwi, natychmiast poczuliśmy woń rozkładających się ciał. Połowa ludzi w wagonach leżała opuchnięta, nie żyła. Niektóre dzieci miały tak nabrzmiałe ciała, że wyglądały jak dorośli. Ci, którzy jeszcze żyli, byli wycieńczeni i bliscy szaleństwa. Domyślałem się, że ta grupa Żydów mogła próbować ucieczki w drodze do Sobiboru i Niemcy albo ich otruli jakimś gazem, albo przetrzymywali w wagonach przez dłuższy czas.

Pomimo nieznośnego zapachu musieliśmy pomóc żyjącym osobom wyjść z pociągu. Jedną z nich była krańcowo wycieńczona kobieta, którą w kilku wynosiliśmy z wagonu. Miała wielką wolę życia i zawołała:

– Żydzil! Zostałam uratowana!

Lecz Niemcy zastrzelili ją na miejscu, tak samo pozostałych ludzi, którzy utrzymali się przy życiu. Potem musieliśmy usunąć rozkładające się ciała. Próbowałem wyciągnąć z wagonu czyjeś zwłoki, lecz w rękach została mi tylko skóra. Odwróciłem się i ujrzałem kobietę z dzieckiem. Oboje nie żyli. Nadal byli do sie-

bie przytuleni. Wlepiłem w nich wzrok i wstrząśnięty, nie mogłem się poruszyć. Miałem już dość tego piekła. Wolałem umrzeć, niż nadal wykonywać tę straszną pracę. Chcąc nakłonić któregoś z Niemców, żeby mnie zastrzelił, położyłem się na ziemi. Frenzel natychmiast podszedł i zaczął okładać mnie pejczem.

– Wracaj do pracy! – wrzeszczał.

Błagałem go, mówiąc, że nie mogę znieść tego zapachu.

– Zapal sobie przy pracy – odrzekł Frenzel, wsadził mi w usta papierosa i zaczął się śmiać ze swojego chorego dowcipu. Kiedy zobaczył kobietę i przytulone do niej dziecko, rzekł: – Cóż za piękny widok.

Zrobił zdjęcie i odszedł. (...)